

"Klask" nr 11, 2013

Tom otwiera wiersz pt.: *List do L.*, którego pointa zapiera dech! Powiedzieć, że jest to wiersz zbudowany na kapitalnym koncepcie, to za mało. Powiedzieć, że nikt nie napisał równie zdumiewającego hymnu ku chwale Rzeczypospolitej Obojga Narodów, to już nieco bardziej zbliżyć się do prawdy. Jestem pewien, że każdy, kto przeczyta *List do L.* Janusza Drzewuckiego, dozna potężnego wstrząsu emocjonalnego, co jest nieuniknione, bo tak ten utwór działa, ten, czy to czytając, czy przepowiadając sobie w duchu pierwsze słowa *Pana Tadeusza*, pomyśli o owej tajemniczej, zagadkowej *L.*, lecz pomyśli inaczej niż kiedykolwiek do tej pory. Ten wiersz, otwierający tom *Dwanaście dni*, zapowiada i obiecuje, że cokolwiek zostanie w tej książce powiedziane, nie będzie jawne w pół słowa, że za każdym wierszem jasnym ukryty jest wiersz ciemny, i na odwrót.

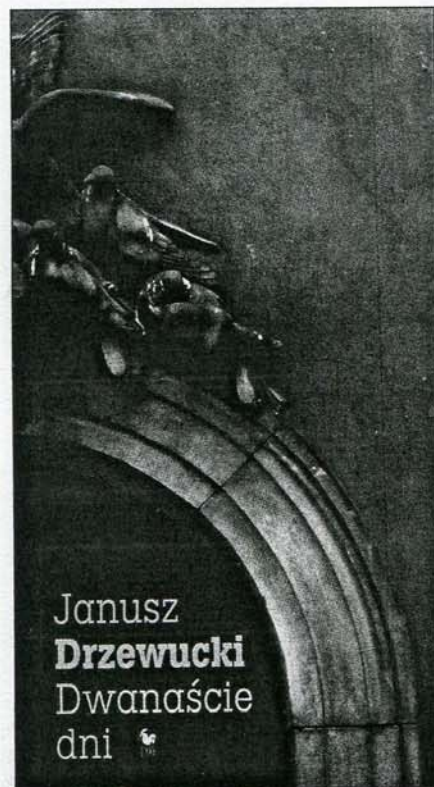
Cykl *Wiersze podróżne* zgodnie z tradycją zawiera odpowiednią porcję zachwyty dla uroków świata nieosiągalnych w kraju nad Wisłą. Po cóż innego człowiek zamienia się w turystę, jak nie po to, by się przekonać, że słońce, choć przecież jedno i to samo, jest inne nad Morzem Czarnym niż nad Bałtykiem. Jest, naturalnie, wiele jeszcze innych powodów, dla których Poeta opuszcza dom w Warszawie i udaje do innych miejsc, znanych lub nieznanymi. Może być, i jest!, przygotowany intelektualnie do każdej wyprawy, zawsze jest to lądowanie na obcej planecie. I choć wie, że te planety były w tym samym, co jego ojczyzna obozie, poddane podobnym lub zgoła takim samym represjom; wie, że jakoś, cudem Boskim, udało im się zrzucić brzemień duchowego zniewolenia i fizycznej niewoli; wie, że w cierpieniu odnajdujemy braterstwo krwi; mimo to, są to światy osobne, do których poeta może wejść tak głęboko, jak one sobie życzą. Doskonale tę sytuację oddaje wiersz *Na Moście Łańcuchowym*, który jest zapisem pewnego stanu gorączkowego, jaki nawiedza turystę chcącego w krótkim, ba, w tym samym czasie być tu i tam, czy jak mówi Poeta, raczej tam niż tu. Ta gonitwa w poszukiwaniu, naturalnie, czegoś w rodzaju utraconego czasu, w pewnym momencie traci impet, turysta zadaje sobie pytanie: co tu po mnie? Co ja tu robię? Czy to, co dzieje się na Placu Kossutha dotyczy mnie? Jeśli dotyczy, to w jakim stopniu? Podobnie jak poeta z Polski, wędrują po tym środkowo-wschodnim i poniekąd południowym terytorium Europy poeci z Macedonii i Węgier, Serbii i Ukrainy, Rosji i Chorwacji, i z innych okolicznych krain, ale mimo że, jak pisze Poeta, „*próbujemy się porozumieć / i zrozumieć / trzymając się / każdy swego.*” Życie, które niewola i poddaństwo w jakiś sposób upodobnia, nigdy nie jest takie samo. „*Nie zamienimy się / ani miejscami, / ani stronami, / nie zamienimy się / życiorysami, ani językami, / każdy siedzi / głęboko w swojej / skórze.*” Innymi słowy: każdy zostaje ze swoim piekłem. Mniejszym czy większym, ale jednak piekłem.

Centralny blok wierszy *Dwanaście dni*, który swój tytuł użyczył całej książce, jest swego rodzaju kardiogramem, czule rejestrującym, w odstępach miesięcznych, stany serca, czyli duszy człowieka, który przeżył pół wieku, w poczuciu, że mimo potknięć, czy przejściowych zawirowań, prowadzi go

szczęśliwa gwiazda, a Anioł Stróż – bohater ostatniego, grudniowego zapisu – rzetelnie wykonuje swoją pracę. I raptem ta pewność, płynąca z poczucia bezpieczeństwa, zostaje człowiekowi odebrana. Kto to sprawił? Skąd przyszedł cios? Mówiąc najzwyczajniej: *unde malum?* Bo stało się zło, trudne do zidentyfikowania, lecz skąd przyszło, to nie zostało powiedziane wprost, lecz jako się rzekło, za tekstem tych utworów są ukryte szyfry i niewyraźne znaki, które przebijają się na plan pierwszy, znajdując dla siebie przestrzeń między wierszami, tak iż możemy domyślać się, że nie nagle uderzenie choroby, nie zawał, nie wylew, nie rak, lecz inni ludzie, inny człowiek posiał zło. Człowiek nigdy nie jest wystarczająco dobrze przygotowany do uporania się z nagłym, gwałtownym kryzysem. Niby wszystko jest takie, jakie było, i jednocześnie wszystko jest całkowicie inne. To samo miasto, jest nim Warszawa, topografia miasta, nazwy ulic i mostów, wszystko to jest podane z zastanawiającą dokładnością, jakby owa sucha pedanteria miała zrównoważyć rozchwianie bohatera, który jest w ciągłym ruchu, ustawicznie dokąś spieszy, nie zmierzając, jak wyznaje, do konkretnego celu, tym bardziej idzie krokiem zdecydowanym, nie oglądając się na boki; idzie do przodu. Bez wątplenia, idzie do siebie; nie do domu, ale do siebie, czyli do swego ja.

Wstrząs, jaki obudził bohatera w pierwszy dzień stycznia, był z jednej strony skutkiem wyrządzonego mu zła, po którym, jak się to zwykle ujmuje: nie umie się pozbyć; ale jest i powód inny, co najmniej równie ważący na jego losie: wstrząs egzystencjalny. Ten z kolei wziął się, jak można się domyślić, z silnie uświadomionego poczucia tragizmu życia. Ścisłej: niewymownego piękna tragizmu życia. Anioł Stróż zmienił swój status: jest Aniołem Śmierci, Aniołem Zagłady. Ale ma przeciwko sobie życie. Mimo wszystko.

Zamykający tom cykl pt.: *Wiersze podzwonne* zawiera utwory, które można by zdefiniować jako poetyckie nekrologi bądź klepsydry, ale najpełniej oddaje ich treść i charakter, a więc: naturę, tzw. portret trumieny, czyli *castrum doloris*, tłumaczony różnie, jako *zamek boleści* lub *obóz boleści*, czy szczególnie pięknie, jako *namiot żalu*. Tym właśnie są te wiersze, opowieści o ludziach z różnych względów autorowi bliskich. Opowieści – są to bowiem utwory narracyjne, o frazie zdecydowanie epickiej, lecz namiętnie liryczne jest na tyle silne, że są to teksty na wskroś osobiste. Portrety trumienne kreślone ręką mistrza w poetyckim rzemiośle, oddają cielesność i duchowość kilkorga zmarłych osób, rozpoznawalnych dla wielu czytelników, choć nie padają nazwiska, jedynie imiona lub środowiskowe pseudonimy. Są to portrety tak wyraziste jak owe siedem nastawiczne wizerunki szlachty malowane na blasze! Ale jest w nich coś jeszcze: czas i jego zapachy, epoka i jej klimaty, rzeczywistość peerelowska, i ta z dwóch ostatnich dekad. Śmierć tych, jak rzekłem, bliskich autorowi ludzi, dochodzi doń jako komunikat, jako wieść, czy po prostu, jako wiadomość. Prawda, że są to śmierci ludzi, którzy dożyli starości, więc jakoś przeczuwane, spodziewane, i w jakimś sensie już za życia Zmarłych, w świadomości autora, dokonane. Teraz, w chwili, jak pisze poeta „czarnej ciszy”



Janusz
Drzewucki
Dwanaście
dni

Janusz Drzewucki *Dwanaście dni*, Iskry
2013, s. 115.

O niewymownym pięknie tragizmu życia

jest czas, by tych za życia – w różny sposób i w różnej mierze – wyjątkowych ludzi umieścić w *castrum doloris*. Nie sądzę, aby o Olimpi, Henryku, Marianie i Jurku, ktoś inny potrafił rozbić *namioty żalu* równie powściągliwie i zarazem wielostronne, pisane jakby z pewnego oddalenia i zarazem najgłębiej osobiste, niemal intymne.

Jest to jedna z najlepszych książek poetyckich tego roku. Dojrzała gorzką mądrością i nieudawaną powagą. Jednorodna stylistycznie. Odrębna, całkowicie własna.

FELIKS NETZ